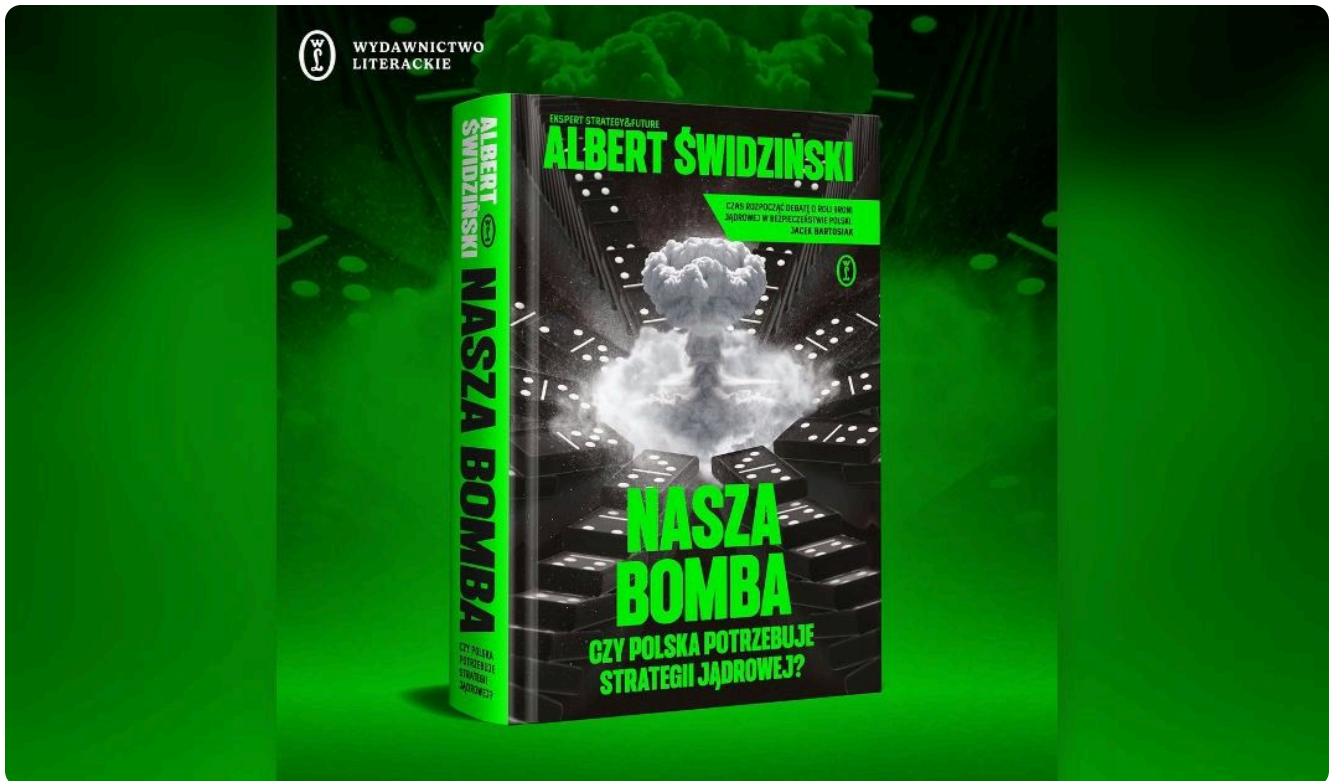


Albert Świdziński. NASZA BOMBA – Zakończenie

S&F Strategy&Future

03.02.2026



Tutaj powinien być materiał audio

**Książkę "Nasza Bomba" w przedsprzedaży
można nabyć pod tym linkiem**

NASZA BOMBA WSTĘP

Albert Świdziński

NASZA BOMBA – Zakończenie

Żeby państwo podjęło decyzję o rozpoczęciu własnego programu broni jądrowej – jedną z najtrudniejszych, jakie może podjąć, i obarczoną największym ryzykiem – niezbędne jest osiągnięcie konsensusu co do zasadności tego kroku między kluczowymi graczami (czyli tymi, których ewentualne weto uniemożliwiłoby realizację takiego projektu) w danym systemie politycznym. Jest to warunek wstępny. Dopiero jego spełnienie pozawala na zrobienie kolejnych kroków na drodze do proliferacji. Tak przynajmniej twierdzi Vipin Narang – i choć nie sposób odmówić mu racji, należy pamiętać, że jako Amerykanin jest przed stawicie lem imperium i być może nie do końca uświadamia sobie stopień przywiązania niektórych państw do starego dobrego porządku międzynarodowego, w którym to Stany Zjednoczone gwarantowały owym państwom bezpieczeństwo, a w konsekwencji również dobrobyt. Jako przedstawiciel takiego właśnie, mniejszego i przywiązanego do obowiązującego przez lata ładu państwa, zaryzykuję stwierdzenie, że nim ów warunek wstępny, czyli konsensus, zostanie spełniony, potrzebna jest realizacja warunku przedwstępnego – a mianowicie: zburzony musi zostać konsensus poprzedni, ten, który zakładał, że o broni jądrowej w ogóle nie wolno myśleć. Podobnie jak i o świecie, w którym przetrwanie i rozwój w systemie międzynarodowym zapewniają państwu nie gwarancje bezpieczeństwa ze strony patrona, ale własna siła i decyzyjność.

Gdyby taka zmiana dokonała się sposobie myślenia polskiego establishmentu politycznego, byłby to bez mała nowy przewrót kopernikański. Doświadczenia ostatnich lat, a w szczególności ostatnich miesięcy – już po tym, jak swoją drugą kadencję rozpoczął Donald Trump – pokazują jednak, że obecni przedstawiciele politycznego mainstreamu nie tylko w Polsce, ale i w Europie, nie są do tego zdolni. I to pomimo faktu, że amerykański prezydent nawet nie stara się kamuflować swoich zamiarów, a podejmowane przez niego decyzje mówią same za siebie: Biały Dom nie ukrywa, że dąży do wycofania części żołnierzy z Europy Środkowo -Wschodniej, negocjuje z Chinami i Rosją ponad głowami i kosztem traktatowych sojuszników USA, pozycjonuje Amerykę jako bezstronnego arbitra sporów między Rosją a Europą wprost deklaruje, że Stany Zjednoczone nie mogą być dłużej policjantem dla całego świata.

Jeśli więc Polska miałaby wejść na drogę nuklearyzacji, pierwszym krokiem musiałaby być konstatacja, że ani Stany Zjednoczone, ani żadne inne państwo nie wezmą już odpowiedzialności za nasze bezpieczeństwo i dobrobyt. A to myśl właściwie nieobecna w polskiej tradycji politycznej po 1945 roku, nieustannie zorientowanej na znalezienie patrona. Dopiero po takim urealnieniu możliwa będzie rzetelna ocena sytuacji bezpieczeństwa Polski, jej perspektyw oraz zasadności podjęcia próby zdobycia własnej broni jądrowej. Co więcej, nawet mniej ambitne i mniej ryzykowne kroki, jak rozpoczęcie hedgingu ubezpieczeniowego, staną się możliwe tylko pod warunkiem że taka zmiana zajdzie.

Warto zwrócić uwagę, że już od pewnego czasu niektórzy wiodący amerykańscy analitycy zajmujący się strategią nuklearną sytuują Polskę w gronie państw, które mogą być zainteresowane proliferacją broni jądrowej – obok Japonii, Niemiec czy Korei Południowej. Czynili tak chociażby wielokrotnie wspomniani na kartach tej książki Francis J. Gavin czy Vipin Narang, a ich argumentacja opiera się przecież nie na tym, że Polska to znana potęga w zakresie cywilnej energetyki jądrowej, lecz na świadomości uwarunkowań bezpieczeństwa naszego kraju, które wymuszają co najmniej rozważenie nuklearyzacji.

Kiedy USA przestają być wiarygodnym gwarantem bezpieczeństwa, niemal automatycznie przestaje istnieć porządek międzynarodowy stworzony przez Stany Zjednoczone. Wraz z dekompozycją tego ładu status państw na scenie międzynarodowej – w tym ich granice czy miejsce w podziale pracy – staje się negocjowalny. Kiedy zaś jedno państwo graniczy z drugim, które jest od niego silniejsze konwencjonalnie oraz ofensywnie usposobione – jak ma to miejsce w przypadku Polski i Rosji – decyzja o nuklearyzacji staje się realną ścieżką dla zachowania suwerenności. Amerykańscy analitycy dostrzegają po prostu to, co my powinniśmy widzieć od dawna.

W naszych rachubach musimy przy tym uwzględnić to, że do momentu, w którym nie wygaśnie formalny sojusz pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Polską, rozpoczęcie przez Warszawę aktywnego programu rozwoju broni jądrowej będzie właściwie niemożliwe. W teorii można sobie wyobrazić próbę ukrycia takiego działania przed USA, ale historia uczy, że zawsze kończy się to wykryciem i neutralizacją programu. Tak stało się w przypadku Korei Południowej, Tajwanu, ale też państw, które nie były sojusznikami USA (jedynym wyjątkiem od tej reguły jest casus RPA). Co prawda dwa kraje będące w formalnym sojuszu z USA zdołały opracować broń jądrową, nie zrywając więzów bezpieczeństwa z Waszyngtonem – chodzi o Francję i Wielką Brytanię – ale po pierwsze nie ukrywały one swoich programów jądrowych (przedkładały szybkość działania nad dyskrecją), a po drugie i ważniejsze: realizowały je jeszcze przed wykształceniem się normy proliferacji i powstaniem narzędzi prawnych (w obrębie prawa międzynarodowego i wewnętrznego prawa amerykańskiego) mających ją egzekwować. W dodatku ich położenie geograficzne (były oddzielone od zagrożenia sowieckiego co najmniej jednym państwem buforowym – RFN) sprawiało, że Waszyngton nie mógł sięgnąć po najsilniejsze narzędzie w swoim arsenale nieproliferaacji, czyli groźbę porzucenia. Ów brak przeciwnika tuż za granicą sprawiał też, że amerykańskie groźby porzucenia miały mniejszy ciężar gatunkowy, i czynił samą proliferację nieco mniej niebezpieczną. Kiedy jednak o broni jądrowej zaczęli myśleć politycy z Bonn, reakcja USA była zgoła inna. Ameryka otwarcie zagroziła Niemcom porzuceniem ich na pastwę Sowietów. Dlaczego? Bo nuklearyzacja RFN groziła roszadzeniem NATO od środka (swoje robiła pamięć zakończonyj raptem dwie dekady wcześniej, wywołanej przez Niemcy wojnie), oraz generowała ogromne napięcie w samym ZSRR. Poza wszystkim USA nie chciały, aby RFN miała broń jądrową właśnie dlatego, że była ona Niemcom tak bardzo potrzebna. W przypadku ewentualnego ataku ZSRR na państwa zachodnie przewaga konwencjonalna Sowietów nad RFN i całym NATO była na tle znacząca, że Niemcy mieliby wszelkie powody, by użyć własnej broni jądrowej na wczesnym etapie konfliktu. A to wikałoby Stany Zjednoczone – ich gwaranta bezpieczeństwa – w bezpośredni konflikt nuklearny, na dodatek bez możliwości kontrolowania jego dynamiki.

Polska znajduje się w dość podobnej sytuacji, co RFN w czasie zimnej wojny, i funkcjonuje w reżimie nieproliferaacji (wyznaczanym przez prawo i mechanizmy nadzorujące jego przestrzeganie). Dopóki więc istnieje NATO, może realizować jedynie hedging, który – w terminologii Naranga – jest czymś pośrednim między brakiem zainteresowania bronią jądrową a próbą jej zdobycia. Hedging to swego rodzaju polisa ubezpieczeniowa: państwo prowadzi prace rozwojowe nad częściami składowymi programu jądrowego, ale jednocześnie mniej lub bardziej otwarcie deklaruje, że nie dąży w danym momencie do wejścia w posiadanie broni jądrowej, choć nie wyklucza, że może się to zmienić.

W wymiarze praktycznym Polska powinna się upewnić, że odpowiednio dofinansowany (i nie okluzulowany żadnymi zapisami w rodzaju „złotego standardu”) program energetyki jądrowej,

pozwalający opracować zdolności technologiczne i bazę wiedzy, da możliwość samodzielnej kontroli nad całością cyklu paliwowego (dotyczy to zresztą wszystkich gałęzi przemysłu, które mogą być przydatne w tym procesie). Oprócz tego powinny zostać stworzone zdolności do rażenia terytorium przeciwnika za pomocą środków dalekiego zasięgu – zarówno pocisków raketowych, jak i systemów C51STAR. W każdym z tych przypadków Warszawa powinna się upewnić, że systemy te nie są nabywane od Amerykanów oraz że Amerykanie nie będą mogli wykorzystać środków prawnych (w rodzaju Foreign Direct Product Rule, czyli Zasady Produktu Bezpośredniego, który pozwala nakładać ograniczenia eksportowe na produkty wyprodukowane przez zagraniczne firmy, jeżeli zawierają one komponenty lub technologie opracowane przez amerykańskie firmy), aby uzyskać nad nimi jakąkolwiek kontrolę.

Gdyby Polska zaczęła realizować hedging, a w naszej przestrzeni publicznej zaistniałaby debata na temat wiarygodności amerykańskich gwarancji oraz potencjalnych dla niej alternatyw, z pewnością nie umknęłoby to uwadze Amerykanów, co wcale nie musiałyby być zjawiskiem negatywnym. Reakcja USA stanowiłaby punkt odniesienia, pozwalający na ocenę amerykańskich intencji. Jeżeli byłaby ona jednoznacznie negatywna, ale jednocześnie nie towarzyszyłoby jej podjęcie działań mających na celu „rozmasowanie” obaw Polski (powodów, dla których Warszawa w ogóle rozważa nuklearyzację), Polska miałaby namacalny dowód nie tylko na dalszą niechęć Waszyngtonu wobec proliferacji, ale też na brak gotowości USA do zaakceptowania niebezpieczeństw związanych z wypełnieniem zobowiązań sojuszniczych. Natomiast gdyby Amerykanie wyrazili zaniepokojenie, ale jednocześnie wykonali realne kroki i adekwatnie zaadresowali obawy Polaków, wówczas można byłoby z większym zaufaniem patrzeć na oferowane przez nich gwarancje.

Sytuacja uległaby znaczącej redefinicji dopiero w momencie, gdyby rola Stanów Zjednoczonych w NATO zmieniła się w sposób zasadniczy lub gdyby Polska, wraz z redukcją roli Sojuszu, uznała, że jest on już pozbawiony realnej siły i stosowanie się do norm zachowania gwarantujących dalsze w nim uczestnictwo generuje więcej niebezpieczeństw niż ich zignorowanie.

Potencjalne rozluźnienie sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi otwiera Polsce co najmniej teoretyczną ścieżkę do prowadzenia strategii proliferacji zwanej proliferacją pod kryszą. Oznacza ona prowadzenie programu broni jądrowej dzięki nieformalnemu patronatowi wielkiej potęgi, która osłania państwo prowadzone program przed niektórymi negatywnymi konsekwencjami proliferacji. W ujęciu historycznym była to najskuteczniejsza strategia proliferacji: stosowały ją Korea Północna, Izrael oraz Pakistan. I każde z tych państw doprowadziło swój program do skutecznego zakończenia.

Zwróćmy jednak uwagę na kilka kwestii. Po pierwsze – żadne z tych państw nie było w formalnym sojuszu ze swoim dostarczycielem kryszy – to, jak się wydaje, warunek sine qua non realizacji tej ścieżki. Po drugie – wszystkie były w danym momencie bardzo potrzebne swoim nieformalnym patronom bardzo do czegoś potrzebne.

Znalezienie się pod kryszą nie oznaczało też, że jej dostawca oferował aktywną pomoc w programie jądrowym swojego nieformalnego klienta, ani nawet, że podchodził do jego realizacji przychylnie. Krysza sprowadzała się do „patrzenia w inną stronę” – ignorowania sygnałów wskazujących na ambicje nuklearne państwa nią objętego. Aby było to możliwe, państwo-proliferator również musiało uczestniczyć w tym teatrze, podtrzymując iluzję, że wcale broni jądrowej nie rozwija. Na późniejszych etapach procesu mogło to być realizowane na przykład przez nieskładanie w całość

poszczególnych elementów głowicy jądrowej, co pozwalało twierdzić, że broni jądrowej jako takiej się nie posiada.

Proliferacja pod kryszą ma też własne, naturalne ograniczenia – najważniejszym z nich jest to, że możliwość jej wybrania nie zależy wyłącznie od woli państwa-prolifera, lecz również od woli państwa dostarczającego kryszę. Sytuacje, w których mocarstwo przychylnie patrzy na proliferację broni jądrowej, są rzadkie, szczególnie jeśli tym mocarstwem są Stany Zjednoczone, dla których historycznie nieprolifera była jednym z priorytetów polityki zagranicznej.

Ponadto proliferacja pod kryszą nie zwalnia z obowiązku zachowania dyskrecji. Międzynarodowy skandal związany z ujawnieniem tajnego programu rozwoju broni jądrowej może wymusić na elitach politycznych państwa-dawcy kryszy rezygnację z jej udzielania. Krysza zmniejsza natomiast ryzyko, że to aparat państwowy patrona będzie dążył do ujawnienia programu jądrowego państwa-klienta, redukuje też niebezpieczeństwo militarnych prób unieszkodliwienia programu proliferacji przez inne państwa (choć stopień ekspozycji państwa-prolifera na ryzyko może zniechęcać potencjalnego dawcę kryszy od jej zapewnienia).

Trzeba też pamiętać, że proliferacja pod kryszą była owocem specyficznych czasów i uwarunkowań – sprzeczności pomiędzy polityką nieprolifera zwyczajowo prowadzoną przez USA i jakiegoś konkretnego, pilnego zapotrzebowania, które nakazywało jej zawieszenie (zignorowanie). Polityka nieprolifera była elementem realizowania przez wielkiej strategii prymatu. Do tego Ameryce były potrzebne sojusze. Aby były one potrzebne też innym państwom, a zawieranie ich nie wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem dla USA, konieczna była ścisła reglamentacja broni jądrowej.

Co będzie, gdy Ameryka porzuci wielką strategię prymatu i obierze inną, bardziej wstrzemięźliwą?

Wówczas proliferacja broni jądrowej stanie się właściwie nieuchronna – państwa pozbawione amerykańskiej gwarancji bezpieczeństwa, w tym parasola nuklearnego, sięgną po narzędzie, które odstrasza (egzystencjalne zagrożenia!) najskuteczniej. Nie bez kozery Narang zauważa, że nad Stany Zjednoczone nadciąga „nuklearne tornado piątej kategorii”, w którym „państwa takie jak Polska, czy nawet Niemcy mogą dążyć do własnej broni jądrowej, jeżeli USA nie będą dłużej gotowe ich chronić”¹. Kluczowe pytanie brzmi: jak zareaguje na to tornado Waszyngton? Czy pozostanie przy pryncypialnym sprzeciwie wobec nieprolifera, czy też zmieni swoje nastawienie, na przykład dopuszczając selektywną proliferację broni jądrowej? Choćby tylko wśród państw, które z jednej strony mogą być dla Ameryki przydatne w realizowaniu jej strategii, a z drugiej – których nuklearyzacja nie pociągnie za sobą zbytnej destabilizacji systemu międzynarodowego.

Nie znam odpowiedzi na te pytania. Na pewno jednak istotne będzie to, w jaki sposób Stany Zjednoczone odejdą od wielkiej strategii prymatu, oraz to, czy norma i reżim nieprolifera będą osłabiane stopniowo, czy też załamą się nagle. Niezależnie od tego – podobnie jak w przypadku monitorowania procesu „przeterminowywania” się NATO – polskie państwo powinno stale i niezmiennie mapować ewoluujące nastawienie do proliferacji wewnątrz amerykańskich elit. Kto wie, czy personalistyczne w swej naturze administracje (jak ta Donalda Trumpa), nie są najbardziej przychylnym środowiskiem do kultywowania idei bliskich polskiej racji stanu. Szczególnie, że zarówno sam Trump, jak i jego współpracownicy niezwykle czytelnie dystansowali się od pryncypialnego stosowania polityki nieprolifera.

Prawo i normy międzynarodowe to jednak tylko jedna strona medalu. Drugą, ważniejszą przeszkodą na drodze do ewentualnej nuklearyzacji Polski, będzie negatywny stosunek do tego procesu państw w naszym regionie. Rosja – ale prawdopodobnie nie tylko ona – z pewnością odczuwałaby ogromną (i uzasadnioną!) pokusę unieszkodliwienia polskiego programu nuklearnego. Szczególnie wtedy, gdyby Polska nie mogła realizować swojego programu pod kryszą, a zamiast tego była zmuszona do wyboru alter natywnej ścieżki proliferacji – ukrycia lub sprintu. Dotychczasowe doświadczenia uczą, że oba te podejścia są obarczone wysokim ryzykiem porażki. Choć warto też zauważyć, że większość państw prowadzących aktywne programy broni jądrowej stosowała różne podejścia, nie trzymając się żadnego z nich ortodoksyjnie.

Być może więc na pewnym etapie polskiego programu możliwa będzie krysha, potem konieczne będzie ukrycie programu lub zakończenie go sprintem. Albo inaczej: program rozpoczęty w ukryciu będzie kontynuowany kryszą i zakończony sprintem. Wszystko to byłoby wypadkową konkretnych okoliczności politycznych, szans i zagrożeń, jakie na swojej drodze do bomby napotka Polska – o ile zechce na nią wstąpić.

Wybór metody proliferacji jest istotny również dlatego, że może wpłynąć na przyjęcie określonej strategii nuklearnej, podobnie jak ocena sytuacji bezpieczeństwa państwa i zagrożeń przed nim stojących. Kluczowa jest tu obecność (lub jej brak) „bliskiego geograficznie, silniejszego konwencjonalnie i ofensywnie usposobionego przeciwnika”. Jeżeli państwo spełniające te kryteria graniczy z państwem-proliferatorem, wówczas broń jądrowa – a konkretnie groźba jej uprzedzającego użycia – ma służyć przede wszystkim zniwelowaniu znaczenia konwencjonalnej przewagi militarnej przeciwnika. Taki jest cel doktryny asymetrycznej eskalacji.

Alternatywą jest doktryna zapewnionego odwetu. Nie jest optymalna pod względem uwiarygodnienia groźby pierwszego użycia, a jej celem jest zniechęcenie potencjalnego agresora do wykorzystania jego własnej broni jądrowej jako pierwszy. Oczywiście nie powstrzymuje to automatycznie państw, które ją stosują, od pierwszego użycia broni jądrowej – ale charakterystyka samego arsenału, środków przenoszenia, systemów dowodzenia i kontroli oraz procedur czyni takie jej wykorzystanie mniej efektywnym.

I wreszcie doktryna katalityczna – w pewnym sensie naturalna kontynuacja strategii proliferacji pod kryszą. Wykorzystuje tę samą zależność, która umożliwia nuklearyzację pod osłoną mocarstwa, i zakłada, że celem istnienia broni jądrowej jest nie tyle bezpośrednio odstraszenie przeciwnika, co katalizowanie reakcji nieformalnego patrona. Plusem doktryny katalitycznej jest to, że fakt posiadania broni jądrowej nie jest podawany do wiadomości publicznej (nie może być, bo, jak w przypadku strategii proliferacji pod kryszą, prawdopodobnie skutkowałoby to jej zwinięciem). Strategia ta pozwala to nie tylko na ograniczenie zagrożeń wynikających z proliferacji (nacisków gospodarczych i militarnych), ale też daje państwu-proliferatorowi więcej czasu na dopracowanie i rozwinięcie ekosystemu broni jądrowej.

Jednocześnie doktryna katalityczna obarczona jest poważnymi ograniczeniami. Po pierwsze – nie jest dostępna w każdych okolicznościach i dla każdego państwa. Po drugie – jak w przypadku rozwoju pod kryszą, nie jest dana raz na zawsze, a moment, w którym zamyka się jej „okno dostępności”, może

znajdować się poza kontrolą państwa-proliferatora. Po trzecie – państwo stosujące doktrynę katalityczną nigdy nie może być pewne, czy w chwili próby nieformalny patron faktycznie udzieli mu wsparcia, a nawet jeśli tak się stanie, jaki będzie zakres tej pomocy. (I tak na przykład Izrael realizował strategię katalityczną podczas wojny Jom Kipur, płacąc za to wysoką cenę, bo chociaż interwencja USA – dyplomatyczna i materialna – w końcu nastąpiła, miało to miejsce na późnym etapie konfliktu).

W związku z tymi ograniczeniami docelową doktryną nuklearną państwa takiego jak Polska powinna być doktryna asymetrycznej eskalacji, która jest – jak ujął to Narang – „luksusem zamożnych i bezpiecznych”, którzy mogą sobie pozwolić na rozwinięcie tej najbardziej kosztownej i złożonej doktryny, ale „przekleństwem biednych i zagrożonych”, którzy, ponieważ mają w swym bezpośrednim sąsiedztwie „bliskiego geograficznie, silniejszego konwencjonalnie i ofensywnie usposobionego przeciwnika”, muszą się ku niej zwrócić, aby móc skutecznie go odstraszyć.

Wróćmy teraz jeszcze na chwilę do doktryny asymetrycznej eskalacji. Ma wiele wad: jest najkosztowniejsza w sensie politycznym, proceduralnym i finansowym. Wymaga takiego sformatowania zdolności nuklearnych, systemów dowodzenia i kontroli oraz procedur użycia, aby zminimalizować ryzyko, że przeciwnik zdoła unieszkodliwić nasze zasoby nuklearne, zanim zostaną one użyte (atak taki może dotyczyć samych zasobów nuklearnych, ale też węzłów komunikacyjnych lub konkretnych osób, które mają mandat do wydania rozkazu użycia broni jądrowej – albo wszystkich tych „wąskich gardeł” jednocześnie). Do tego potrzebne jest opracowanie zróżnicowanego i licznego arsenału zarówno strategicznej, jak i niestrategicznej broni jądrowej, oraz rozluźnienie łańcucha dowodzenia i kontroli nad nią w taki sposób, aby dekapitacja przywództwa politycznego bądź węzłów nadzoru i kontroli nie skutkowałą paraliżem decyzyjnym uniemożliwiającym reakcję. Konieczność ubezpieczenia się przed tym ryzykiem, generuje inne – że broń jądrowa zostanie użyta nie tylko w momencie, gdy decyzję taką podejmie ściśle kierownictwo państwa. A to oznacza przesunięcie akcentu w dylemacie zawsze–nigdy* w stronę „zawsze”. Wszystko to generuje znaczące koszty finansowe (zróżnicowane typy głowic i środków przenoszenia) i proceduralne, a także wymaga właściwego ustawienia relacji pomiędzy władzami cywilnymi a siłami zbrojnymi, które muszą posiadać większy stopień zdolności do kontrolowania broni jądrowej.

Regionalne uwarunkowania bezpieczeństwa sprawiają, że Polska, jeżeli zdecydowałaby się na proliferację broni jądrowej, powinna zmierzać ku doktrynie asymetrycznej eskalacji. Wymagania, które stawia ona państwu, sprawiają jednak, że do jej wdrożenia bardzo potrzebny byłby czas kupiony poprzez realizację doktryny katalitycznej – o ile będzie ona dla Polski dostępna. W jeszcze dłuższej perspektywie potrzebne byłoby myślenie o tym, w jaki sposób wykorzystać polski potencjał nuklearny do celów bardziej ekspansywnych, a nie tylko do odsunięcia egzystencjalnego zagrożenia ze strony Rosji. Takim wykorzystaniem polskiego potencjału nuklearnego byłoby utworzenie własnego parasola nuklearnego – gwarancji rozszerzanego odstraszenia oferowanych innym państwom w naszym sąsiedztwie.

Jakkolwiek abstrakcyjnie może teraz brzmieć ta propozycja, warto zauważyć, że analogiczną sugestią niesie ze sobą pakistańsko-saudyjski pakt obronny (nawiasem mówiąc, kolejne novum w świecie strategii nuklearnej). Nawet w przypadku dojrzałego arsenału, jakim dysponuje Pakistan, istnieją uzasadnione powody, aby powątpiewać w wiarygodność wykorzystania go dla potrzeb bezpieczeństwa

Arabii Saudyjskiej. Zarówno doktryna, jak i podążające za nią zdolności Islamabadu skalibrowane są bowiem pod jeden cel: odstraszenie Indii, które dysponują przewagą konwencjonalną nad Pakistanem. Rozszerzone odstraszenie, wymierzone w państwa inne niż Indie (Izrael oraz Iran), nie mieści się oczywiście w tej kategorii. Warto jednak zwrócić uwagę, że w przypadku Polski nasze ewentualne przyszłe rozszerzone odstraszenie nuklearne miałyby być oferowane państwu odczuwającym zagrożenie z tego samego kierunku, co my – a więc ze strony Federacji Rosyjskiej.

* * *

Celem, jaki przyświecał mi, gdy przystępowałem do pracy nad niniejszą książką, było przede wszystkim zburzenie tabu – przerwanie zмовы milczenia, która otacza w Polsce kwestie dotyczące broni jądrowej. Przez lata w naszym kraju nie wypadało rozmawiać nie tylko o tym, czy i w jakich warunkach Polska mogłaby pomyśleć o opracowaniu własnej broni jądrowej (to było gwarancją anatemy), ale nawet, na ile wiarygodne są oferowane nam gwarancje bezpieczeństwa opierające się o broń jądrową innych państw. To również groziło przypięciem łatki osobnika „podważającego wiarygodność Sojuszu”.

Choć czasy te bezpowrotnie minęły, jeszcze przez wiele lat przyjdzie nam płacić za mizериę intelektualną, tchórzostwo i prowincjonalność myślenia polskich elit politycznych i eksperckich – kapłanów normy „właściwego zachowania” – które dla własnej wygody starannie pielęgnowały sprowadzony do najpośledniejszego mianownika konsensus dotyczący architektury bezpieczeństwa, ewolucji równowagi sił na świecie oraz wiarygodności oferowanych Polsce gwarancji bezpieczeństwa. W wymiarze indywidualnym ma to swoje dobre strony: w innej rzeczywistości moja książka mogłaby nie mieć racji bytu, a analizy przygotowywane przez Strategy&Future – gdyby istniały wobec nich jakościowe alternatywy – nie cieszyłyby się takim powodzeniem. Natomiast dla dobrostanu państwa i jego bezpieczeństwa to katastrofa.

Ignorancja i niekompetencja polskich elit wykraczają zresztą daleko poza kwestie broni jądrowej i dotyczą właściwie każdego wymiaru funkcjonowania państwa. To z kolei sprawia, że recepty zawarte nie tylko w tej książce, ale też formułowane przez środowiska takie, jak Strategy&Future, rekomendujące politykę inną niż dryf strategiczny, są obarczone koniecznością „zawieszenia niedowierzania”. Zakładają bowiem nie tylko to, że polscy politycy są sprawczy, a państwo polskie sprawne, ale też zupełnie inny sposób postrzegania rzeczywistości przez polskie elity. Niestety nie jest w naszej mocy rozwiązanie tego problemu.

Daleko mi do optymizmu w odniesieniu do perspektyw stojących przed Polską. I nie chodzi tu o to, że nuklearyzacja może okazać się niemożliwa albo zostanie uznana za niepożądaną przez Warszawę. Zmiany w systemie międzynarodowym, które nakreśliłem w pierwszej części książki, nie są wynikiem jakiejś konkretnej linii politycznej przyjętej przez tę czy inną administrację Białego Domu, lecz wypadkową głębokich przemian strukturalnych na świecie – i jako takie są właściwie niemożliwe do powstrzymania. W obliczu tego uważam, że broń jądrowa – pomimo wszystkich ryzyk związanych z dążeniem do niej – jest najskuteczniejszym sposobem na zarządzenie niektórymi zagrożeniami stojącymi przed Polską; przede wszystkim niebezpieczeństwem konwencjonalnej agresji mogącej skutkować zakończeniem polskiej państwowości lub gruntowną, narzuconą z zewnątrz, zmianą statusu yo. Innymi słowy, broń jądrowa to kluczowa zdolność potrzebna do zagwarantowania przetrwania Polski w świecie posthegemonicznym, czyli takim, w którym status państw – ich granice, miejsce w

podziale pracy, możliwości rozwojowe, dostęp do kapitału – nie jest stały i dany raz na zawsze, lecz negocjowalny.

Pomimo tego Polska może uznać, że proliferacja broni jądrowej obarczona jest zbyt dużym ryzykiem – z uwagi na zagrożenia militarne, koszty polityczne lub gospodarcze. Zrozumiałbym, gdyby władze Rzeczypospolitej wybrały inne rozwiązania im dostępne: poszukiwanie sojuszy regionalnych, a nawet akomodację wobec niektórych postulatów Rosji i zgodę na częściowe ograniczenie suwerenności w zamian za możliwość uczestnictwa w systemie handlowym rozciągającym się na całość Eurazji. Jeżeli Polska dysponowałaby znaczącą siłą konwencjonalną, być może pod dobrym przywództwem nawet wówczas zdołałaby wynegocjować takie warunki, które pozwalałyby na maksymalizację potencjału państwa polskiego i jego narodu.

Wybory mogą być lepsze lub gorsze. Ważne, by były świadome. Niestety obawiam się, że obecne polskie elity nie są zdolne do wybrania żadnego kierunku strategicznego ani azymutu z wyjątkiem kurczowego trzymania się porządku międzynarodowego.

Porządku, który już nie istnieje.